

WALERY PRZYBOROWSKI.

CIEŃ.

(Powieść z przed stu lat).

Autor zastrzega sobie prawo przedruków i tłumaczeń.

14

A jak jeno ona zacna latorośl naszego domu podrośnie na tyle, by podróż do Krakowa bez niebezpieczeństwa odbyć mogła, przywieź ją, a ja ochrzczę to dziecię twoje i dam mu imię pana ojca naszego, Stefana. To wszystko, co ci tu piszę, jest szczerą prawdą, na co daję słowo kapłańskie. Jeszcze raz cię napominam, panie a bracie mój i wzywam, byś haniebną plotką pogardził i synaczka twego przyrodzonego kochał, jak to ojcu każdemu przystoi.

Dając ci panie bracie moje błogosławieństwo kapłańskie, polecam ci Opiece Najświętszej Panienki, orędowniczki i opiekunki naszej.

Adalbertus Dziaduski, m. p.

Cracoviae, w dzień św. Apolonii, Panny i Męczenniczki A. D. 1650⁴.

XIII.

Ciąg dalszy dziennika Julii.

Dzień 3 kwietnia. Ona powyższe dokumenty rozjaśniły mi wiele ciemnych stron w tragicznej historii mej prababki, niemniej przeto nie wszystko, co w niej jest zagadkowego, rozwiązaniem zostało. A mianowicie, kto pisał ten list, donoszący panu chorążemu o romansie jego żony z kawalerem Dolabellą, kto był tą „jadowitą gadziną”, jak słusznie wyraził się ksiądz prałat i kanonik krakowski, która ukąsiła znienacka mego prapradziada. Ze to niegodne, nikczemne pismo wyszło z Gaworowa, to nie ulega dla mnie wątpliwości. Wszak pani chorążyna pisze w swoim dzienniku, że bawiące tam damy za zdróciły jej, że swą „dyabelską pięknoscia” opano wała serce włoskiego mistrza; wszak o owej scenie w alkowie chorążyny tylko one mogły mieć wiadomość. Ale któraż z tych wstrętnych zazdrośnic dopuściła się tego haniebnego czynu, tej bezimiennej denuncyacji? Któż to był ta Armida, podpisaną na liście?

Gdyby cała ta historia nie była tajemnicą rodzinną, brudną bielizną, którą tylko w domu prac należy, to opisałabym ją Hortensyi, a ona ze swą przenikliwością, pewna jestem, od razu by mi wskazała winowajczynię. Nie mogąc jednak tego zrobić, sama muszę łamać głowę i prawie pewna jestem, że nikt inny tej zbrodni (bo przecież to była zbrodnia ze względu na okropne następstwa) się nie do puścił, tylko pani Luiza Gaworowska. Zasadnicze rysy jej intrygantkiego charakteru, tak wybornie opisane w pamiętniku chorążyny, jaskrawo występują w liście do mego prapradziada, krwawego, ohydne go tyrana, mordercy, polskiego Sinobrodego. Wszak ona kochała się w kawalerze Dolabelli, a ujrawszy, że ten ku mej praprababce zwrócił swe uczucia, zazdrością powodowana, ów haniebny list skreśliła. Tak mi się to wydaje i inaczej być nie mogło.

Z drugiego dokumentu, t. j. listu jakiegoś księdza Wojciecha Dziaduskiego, dowiaduję się, że mój prapradziadek nie dość, że zamordował swą żonę, jeszcze syna nie chciał uznać za swego potomka. Nie bardzo rozumiem, jak to mogło być, zresztą zamiaru tego nie doprowadził do skutku, kiedy Dziaduscy do dziś dnia istnieją. Zapewne uległ on namowom swego brata, księdza prałata.

Oto wszystko, czego się dowiedziałam z tych dwóch listów i nie chcę więcej o tem myśleć; tragiczne losy mej praprababki związane są z moimi w dzwiny sposób, ale cóż ja na to poradzę? A może mi się to wszystko zdaje, może te myśli, które mię nawiedzają, są wpływem posepnej atmosfery zamkowej, pełnej mar przeszłości minionej, może tej samotności, w jakiej tu żyję. I w czemże zresztą moje losy są podobne do losów owego nikłego „Cienia”, portretu? Prócz nazwisk nic więcej. Cóż, że ja czuję bicie serca na wspomnienie pięknego szwoleżera Dolabelli? cóż, że mi się podobał i chętnie żoną jego bym została, kiedy on o mnie nie myśli? Wszak oddawna już jest w Polsce, blisko mnie, a czy dał czemkolwiek poznać, że pamięta o pannie Dziaduskiej z Paryża? Mój Boże! słusznie panna Daufinot mówiła, że ród męski jest pełen zdraj i nigdy wierzyć mu nie można.

Głowa mię boli i serce moje mocno cierpi i jestem bardzo nieszczęśliwa!

Dnia 6 kwietnia, późno w nocy. To, co się dziś stało, jest czemś tak niezwykłym, czemś unoszącym mię w nieznana przyszłość, porywając mię ku tej przyszłości, jak liść, który burza oderwała z drzewa i rzuciła na fale wartkiego potoku. Co z tego będzie, co będzie?

Ale trzeba, żebym opisała wszystko szczegółowo na tych kartkach, jedynych powiernicach mych myśli i marzeń, bo kiedy z drżeniem i trwogą spoglądam w przyszłość, należy tu wszystko skrzętnie notować, bo mi się to przydać może w tej przyszłości, której się tak lękam. Co mi jutro przyniesie, co mi przyniesie, mój Boże?

Od trzech dni jestem tak rozstrojona, tak jakoś zleniawiałam, że mi się nic nie chciało, zresztą nie było o czem pisać. Dziadunio zajęty jest ciągle wysyłaniem zboża i siana do Kielc, rozporządzeniami gospodarskimi, bo nakoniec wiosna zawitała do tych posepnych, lesistych i górskich okolic. Bzy poczynają się rozwijać, śniegi stopniały, śliczne, ciepłe słońce oświeca złocistym blaskiem bory i zapala na szczytach wieży klasztornej oślepiające ognie. Dla rozerwania się, nie chcąc więcej myśleć o losach tragicznych mej praprababki, bo mi one ból sprawiają, zabrałam się dziś rano do odczytywania przygód kawalera Faublas, książki, którą przyniosłam z biblioteki przed paru tygodniami, a której dotąd nie przejrzałam, bo unosił miałam czem innem zajęty.

Dziwna książka! W większej części nie rozumiem jej wcale; opisy jakichś osobliwych amorów kawalera Faublas, przebranego za kobietę i w tej postaci wdzierającego się w tajemnice swych kochanek, są dla mnie niejasne, ale przedewszystkiem uderzają mi ryciny nagich mężczyzn lub kobiet w jakichś, niepojętych dla mnie, pozach romansowych. Czy to możliwe, żeby istniały na świecie kobiety, dające się tak obejmować pół nagim mężczyznom?... Nie! nie! nie! rumieniłam się, sama nie wiem dlaczego, patrząc na te ryciny, wstyd mi jakiś ogarniał, policzki mi płonęły i głowa mię mocno rozboleła, tak że całe popołudnie przeleżałam na kanapie i dopiero wieczorem wstałam. Nie! więcej tej książki czytać nie będę...

Wieczór był śliczny. Ogromny księżyc wypłynął na niebo czyste, ciemno błękitne, rzucając tajemnicze blaski i cienie na wszystkie przedmioty, na lasy i góry okoliczne. Od tych lasów, od drzew zieleniących już tu i ówdzie szła jakaś woń ożywcza, jakieś rozgrzewające krew prądy nadziei i życia. Głowa mię ciągle bolała, więc dla zacerpnięcia powietrza, wciągnięcia w piersi woni wiosennej, zeszłam do parku, a jak tu nazywają po staroświecku, wirydarza. Ścieżki między odwiecznymi grabami już obeschły, dzięki górzystemu położeniu parku i mocnym spadkom, więc chodzić było można wszędzie. Jakiś romantyczny urok wywierała cisza, panująca tutaj, głębokie cienie, od drzew padające, przecinane tu i ówdzie srebrzystą siatką blasków księżycowych. Noc była piękna bardzo i bardzo poetyczna. Wdychałam w siebie z rozkoszą świeże, chłodne, jędrne powietrze i czułam, jak powoli głowa przestaje mi ciężać, a nerwy moje, wzburzone przygodami kawalera Faublas, poczynają się uspokajać.

Zapusiłam się aż na sam koniec parku, ponad staw i patrzyłam, jak w jego cichych wodach, lekkim wietrzykiem marszczonych, drżą, brylantowym blaskiem świecące, promienie miesiąca. W tem sennym świetle miesiąca kamienna, biała figura, stojąca ponad stawem, przedstawiająca jakąś boginię grecką, wyglądała na ciemnym tle drzew, jak widmo, jak duch zamarłej i zastygłej przeszłości. Zachwycona poetycznym urokiem tej nocy cudownej, stałam tak długo nad stawem, wsłuchując się w ciszę i tyśiączne głosy, brzące wśród największego nawet spokoju w naturze, gdy nagle, gdzieś bardzo blisko, rozległ się dwukrotnie stłumiony, ale bardzo wyraźny krzyk puszczyka. Wstrząsnęłam się cała na ten ponury złowroźny głos, powtórzony dalekiem echem po borze i chciałam już zawrócić do zamku, gdy w gęstwinie po mej prawej zatrzęsły się gałęzie z nich wysunęła się jakaś ciemna postać.

— A, to jaśnie panienska! — syknęła ta postać — to dobrze, to bardzo dobrze.

— Jezus, Marya! — zawołałam, przejęta śmiertelnym strachem, kto tu?

— To ja, Szydło... niech się jaśnie panienska nie boi...

Chciałam uciekać, ale nogi odmówiły mi posłuszeństwa, dygotałam cała jak w febrze i usiłując odzyskać spokój, który jeden, jak mi się zdawało (bo co mi się wówczas nie zdawało!) mógł mię wyratować z tej okropnej sytuacji, mnie samą jedną, wśród głuchej nocy, wobec strasznego zbrojcy, zapytałam:

— Czego? czego Szydło chce? Niech Szydło sobie idzie... dziadunio jest w zamku...

— Kiej ja do jaśnie pana nie mam jenteresu, jeno do jaśnie panienki.

— Do mnie? — zawołałam, jeszcze bardziej przeżona, bo już prawie byłam pewna, że Szydło chce mię porwać, by potem okup pieniężny wymusić na dziaduniu, jak to nieraz czytałam o różnych bandytach włoskich i jak to robił sławny Rinaldo-Rinaldini.

A Szydło, zbliżywszy się do mnie, szepnął:

— Niech jaśnie panienska tak głośno nie gada, bo nie chcę, żeby kto wiedział, że ja tu jestem i niech się jaśnie panienska nie boi, bo nijakiej krzywdy jej nie zrobię.

Swemu grubemu, chrapliwemu głosowi starał się nadać ton jak najłagodniejszy, prawie pieszczotliwy, co mię nieco uspokoiło, mimo to rzekłam:

— Niech się Szydło do mnie nie zbliża, niech się nie zbliża, bo będę krzyczała...

— Dobrze, nie ruszę się stąd, kaj stoję... mówię, niech się jaśnie panienska nie boi. O laboga, przecie gadam, że nijakiej krzywdy jaśnie panience nie zrobię, mam jeno jenteres wedle tego ojca, co to z klasztoru uciekł.

— Gwidona?

— Tak... zaboczyłem jego imienia, ale on mnie tu do jaśnie panienki przysłał.

— On Szydło do mnie przysłał? — zapytałam, nadzwyczajnie zdziwiona i uspokojona już zupełnie, bo widziałam, że herszt nie ruszał się z miejsca, na którym stanął, a ja mając za sobą wolną ścieżkę, pewną byłam, że w razie czego potrafię uciec i narobić krzyku.

— Czegoż chce Gwido odemnie? — zapytałam.

Szydło podrapał się po skołtunowanej głowie i rzekł:

— Bo to widzi jaśnie panienska, ja zarasięko, jak mi jaśnie pan przykazali, znalazłem tego ojca, jeno nie w puszczy, ale w chałupie gajowego, w lesie Witosławskim. Siedział on sobie tam chudzina i jakim go znalazł, tak pedam mu, jaki mam przykaz od jaśnie pana. Zmartwił ze strachu, a ja mu na to: niech no się dobrodziej nie boi, nie chcę go wcale, bo mię jaśnie panienska prosiła, aby dobrodziejowi krzywdy nie robić, niech se dobrodziej tu siedzi, dokąd będzie chciał, jeno konie i wózek zabiorę, żeby dziedzicowi z Zamkowej Woli z przeproszeniem gębę zatkać i pokazać, żem szukał i przykaz jego wykonał. Takem mu pedział, a on też zaraz był weselszy, jakby się na świat narodził i zaczął się pytać o panienkę i gadał, co jaśnie panienska jest jak janiot piękna i też dobra.

Odyskałam już zupełnie przytomność, pewność siebie i spokój.

— Niepotrzebnie mu to Szydło powiedział.

— Niby cóż?

— Ze ja prosiłam, aby Szydło nie wykonał rozkazu dziadunia.

— Tak?

— A tak.

— Hm... wiem ja to, co robić? jaśnie panienska nie pedziała mi, żeby mu o tem nie gadać. Zeby mi jaśnie panienska była to pedziała, tobym nie gadał.

Trzeba było skończyć prędko tę rozmowę i to dziwaczne spotkanie, więc spytałam:

— Czegoż pan Gwido chce odemnie?

— On chce się z jaśnie panienką zobaczyć, ma tam jakiś jenteres, molestował mnie, żebym jaśnie panienkę o to uprosić. Gadał, co jaśnie panienska jest dobra i piękna jak janiot, że ón, dobrodziej, jako żywo nigdy jeszcze nie widział takiej pięknej panny...

— Ale po cóż on chce się ze mną zobaczyć? — zapytałam, przerywając te zachwyty.

— Wiem ja to, po co? tego mi nie pedział, jeno molestował: mój Szydło, mój dobrodziejasz, mój kochany, zrób to dla mnie, dostań się do jaśnie panienki i powiedz jej, że ja chcę się z nią obaczyć. Ano cóż, myślę sobie, czemu nie? zaszkodzi mi to, czy co? Więc, co robiący, już bez dwie noce chodzę kole zamku, żeby jake jaśnie panienkę zdybać, ażem zdybał dzisiok. Niechno jaśnie panienska rzeknie słowko, kiej tu podłe stawu będzie czekała, a my z dobrodziejem nocką duchem przylecimy.

— Powiedz panu Gwidonowi, że to być nie może — odrzekłam, zdziwiona tą propozycją, oburzona, że ten bezwstydnym mnich śmie żądać odemnie schadzki i nazywa mię piękną panną.

— Niby jak to być nie może? — zapytał Szydło, widocznie nie rozumiejąc mej odpowiedzi.

— Nie chcę widzieć tego mnicha... niech mu to Szydło powie...

— Ano... juścić powiem, ale mnie się widzi, co ón na tem nie poprzestanie. Jemu, kiej gada o jaśnie panience, to się ślepie z przeproszeniem tak świecą, jak wilkowi, kiej owcę obaczy.

— Niech Szydło sobie idzie... ja odchodzę...

Zawróciłam i szybko pobiegłam do zamku, bo